

Księga wyjścia – 7

10 kwietnia 2019

Ballada o słowach ważnych i głupich

Od 15 lutego, czyli od kiedy opuściłem szpital, zacząłem stabilizować sobie życie. Do tego stopnia, że od tamtej pory nie byłem nawet w Warszawie. Spędzam czas w Puławach, regularnie jeżdżąc do Lublina po dwutygodniową rację suboxonu i na terapię.



Wcześniej nie było tygodnia, bym nie musiał pojechać na dwa, trzy dni, żeby załatwić tysiąc różnych spraw. I zawsze byłem w pędzie.

Wytłumaczeniem tego może być to, że wszyscy moi znajomi, współpracownicy i działacze społeczni – czyli ludzie, którzy dotychczas potrzebowali mojej pomocy – postanowili dać mi czas, bym się jakoś w spokoju urządził. Bez wiecznego pędu i tysiąca nakładających się na siebie spraw. Utrzymujemy jedynie kontakt telefoniczny i mogę być im jedynie wdzięczny, że dali mi czas na rozruch. Wiem też, że gdyby moja obecność była naprawdę niezbędna – dostałbym taką wiadomość i natychmiast pojawiłbym się w stolicy.

Dzięki temu „urlopowi” od działalności redakcyjno – społeczno – politycznej miałem czas by urządzić sobie mieszkanie. Wreszcie zrobiłem to kompleksowo, od początku do końca tak jak chciałem. Może dlatego, że potrzebowałem „swojego” miejsca na ziemi, a dotychczas czułem się tu cholernie obco. Teraz się to zmieniło i tak naprawdę nie mam już ochoty na dłużej opuszczać tego gniazda. Oczywiście, gdy poczuję zew, to ponownie ruszę w świat, ale wtedy wrócę do mieszkania z prawdziwą przyjemnością. Ten zew niebawem się pojawi, gdy zacznie się ostatnia faza kampanii do Parlamentu Europejskiego pojedę wesprzeć moich przyjaciół z Ruchu Sprawiedliwości Społecznej – wiem, wiem RSS idzie do wyborów wspólnie z partią na „R”, z której wielokrotnie kpiłem, ale powodem tych kpin był ich narcyzm, w jaki wpadli po uzyskaniu w miarę dobrego wyniku w wyborach parlamentarnych. W miarę dobrego, czyli takiego, który gwarantował subwencje ze skarbu państwa, ale nie dawał ani jednego mandatu w Sejmie. Czyli kasa bez żadnej odpowiedzialności. Partia na „R” uwierzyła w swój geniusz i postanowiła nie kłaniać się na ulicy przedstawicielom innych lewicowych organizacji. A co dopiero współpracować.

Nie wiem, czy wyniki sondaży wpłynęły na decyzję, by jednak te siły połączyć, czy wreszcie zrozumieli, że jedynie zjednoczona lewica ma jakieś szanse, by przebić się przez ten szklany sufit, który od jakiegoś czasu zaczął się już coraz szybciej obniżać. Zwróćcie uwagę, że w latach dziewięćdziesiątych zarówno „Gazeta Wyborcza” jak i „Tygodnik Powszechny” uchodziły – słusznie zresztą – za gazety prawicowe. Teraz dla przeciętnego „Kowalskiego” (Mariana również) tytuły te kojarzone są z lewicą. To nie jest tak, że redakcje zmieniły poglądy, to zachowawczość i wieczna ustępliwość lewicy spowodowała, że została ona praktycznie wyparta z parlamentarnej sceny politycznej, a co za tym idzie świadomości przeciętnego oglądacza telewizji.

Śledzę więc sobie politykę w sposób bierny, czytając prasę, oglądając telewizję i – o zgrozo – czytając wpisy na FB. Jedną

z naszych cech narodowych jest – może nie lekceważenie – ale brak wiary w siłę słów. Używamy najmocniejszych określeń w sytuacjach zupełnie nieadekwatnych.

Pamiętam jak PiS objął władzę, wszystkie główne media – poza publiczną oczywiście – trąbiły o zamachu stanu, końcu demokracji, a niektórzy komentatorzy wieszczili nawet wojnę. Nic takiego miejsca nie miało. PiS przejął władzę i urządza kraj według swojego pomysłu, co chwilę wybucha jakaś afera, a to nepotyzm, a to dziwnie nagrody, pensje czy fascynacja filmem „Wniebowzięci”, bo gdzie tylko jest jakieś lotnisko i da się wylądować, tam z pewnością jakiś wpływowy funkcjonariusz rządzącej partii sobie poleci. Najcięższe zarzuty stawiane PiS-owi to wrogość wobec osób LGBT, skrajne podejście do zakazu aborcji i prymitywna mowa nienawiści – ukierunkowana zarówno wobec opozycji, imigrantów i mniejszości etnicznych. Po drugiej stronie mamy PO, które zarzuca rządzącym wymienione przed chwilą „przewiny”, mimo że podczas swoich rządów zachowywali się dokładnie tak samo. Również mieli w dupie – dobre słowo – osoby LGBT, nepotyzm aż wyciekał z każdej szczeliny instytucji zależnej od rządzących, również przekłamywali historię – może nie czcili jak obecni leśnych bandytów – ale doskonale pamiętam jak Bronisław Komorowski, będąc jeszcze prezydentem mówił, że w Polsce nie było żadnych obozów dla jeńców bolszewickich. Od obecnej władzy różnili się jedynie tym, że posługiwali się inną narracją, głównie eufemizmami, co nadawało temu ładne brzmienie i nikt nie mógł powiedzieć o nich „chamy”.

Wracając jednak do głównego wątku, to śledząc Internet, fejsbukowe wpisy i telewizyjne komentarze, odnoszę wrażenie, że trwa jakiś wyścig kto nazwie Kaczyńskiego większym „kurdupem”, a rządzących większymi idiotami. Rozmawiałem kiedyś o tym z Grześkiem Walińskim i bardzo ładnie określił to zjawisko – „inflacja słowa”.

Zawsze komplikowaliśmy zdania wsadzając jak najwięcej – mniej lub bardziej mądrych – słów opatrzonych przymiotnikami. Wtedy

wyduje nam się, że będziemy uchodzić za znacznie lepiej wykształconych, możniejszych intelektualnie, o wyższym statusie? Może to jakiś kompleks „arystokraty”? Kiedyś usłyszałem takie zdanie: te elementy powinny ze sobą kolaborować – mówiącemu chodziło o to, że powinny być zsynchronizowane i zwyczajnie ze sobą współpracować.

Często dodajemy całą masę przymiotników przed słowem właściwym: „okropnie straszny, wręcz niewyobrażalny koszmar” – słyszymy od rozmówcy, który opisuje swoje wrażenia np. z kolejki w markecie. Jak więc przebić tego typu zdanie, gdy wydarzy się katastrofa kolejowa? Jeśli tysiąc razy mówiliśmy „kocham” w sytuacjach zupełnie niepotrzebnych, to jak powiedzieć „kocham” gdy już poznamy wagę tego słowa? Oczywiście będziemy dodawać setki różnych przymiotników i porównań – ale waga tego słowa nie ma już właściwej swojej mocy.

Pamiętam, jak kolega mieszkający we Francji opowiadał mi jak tam przywiązują wagę do tego typu słów. Powiedział mi nawet, że nie pamięta, by jego druga żona wyznała mu słownie miłość, mimo, że byli ze sobą dziesięć lat. Sami sobie popsuliśmy język i gdy ktoś mówi, że sytuacja jest tragiczna, machamy ręką sądząc, że przesadza.

To zjawisko doskonale widać w polityce, zarówno wśród polityków, jak i ich wyznawców. To nasza kolejna przywara – jeśli popieramy jakiegoś polityka, to nawet jeśli popełni głupstwo, będziemy go zażarcie bronić. Tu też przywołam Francję, kolega o którym wspomniałem, mówił mi również, że jego obecna żona popierała i głosowała na Macrona, a teraz jest jego zagorzałym krytykiem, co nie znaczy, że zmieniła zdanie. Po prostu uznała, oddała głos na człowieka, a nie nieomylnego świętego, człowieka, który – jak my wszyscy – popełnia błędy i należy mu je wytknąć. W krajowych realiach wygląda to zupełnie inaczej, nawet jeśli polityk, który jest naszym faworytem zostanie przyłapany na kłamstwie, to cała rzesza jego fanów będzie broniła go do upadłego twierdząc

nawet, że skłamał w imię racji stanu.

Bywają jednak wyjątki, gdzie nieodpowiednie słowa trafiają do nieodpowiednich ludzi. Jeśli – co gorsze – ci ludzie zamykają się w świecie jednego przekazu, słuchając tylko jednej stacji radiowej, oglądając jedynie wybrane stacje telewizyjne, czytając tylko wybrane tytuły prasowe i zamykając się na Fb w grupach, które mówią to samo – odrzucając inny pogląd i z góry zakładając, że to kłamstwo, to może prowadzić do nieszczęścia. Jest wielu ludzi, którzy zamykają się w bańce medialnej o jednym światopoglądzie, jest masa ludzi, która ziele nienawiścią do każdego odmienca, czy jest to osoba LGBT czy człowiek o innym kolorze skóry, prawie zawsze kończy się to co najwyżej sporem z sąsiadem, kłótnią pod blokiem, lub rodzinnymi niesnaskami – znam takie przypadki, że członkowie rodziny nie rozmawiają ze sobą ze względu na poglądy polityczne.

Prymitywny język nienawiści już dwukrotnie doprowadził w Polsce do tragedii – gdy niespełna sto lat temu, Eligiusz Niewiadomski zastrzelił prezydenta Gabriela Narutowicza i teraz osobnik o nieznanym mi nazwisku zasztyletował Pawła Adamowicza. Obu zbrodniarzy łączyło to, że ich czyn był wynikiem nagonki, czyli mowy nienawiści.

Nad językiem nienawiści warto się chwilę zastanowić, nie będę roztrząsał jaki jest cel – to wiadomo – polityczny, ale dlaczego trafia on na podatny grunt, dlaczego ludzie idą za nim jak szczury za melodią fletu. Przecież tak naprawdę jedynym racjonalnym wytłumaczeniem jest: nienawidzę cię, bo cię nienawidzę. Tu żadnego innego argumentu nie ma. Przecież człowiek o odmiennych poglądach, nie zrobił krzywdy temu, który go nienawidzi. A jeśli zrobił krzywdę, to powodem nienawiści już nie są poglądy.

A w tym czasie na Fejsbuku jakiś pan z jakąś panią licytują się, które z nich napisze, że Kaczyński to większy kurdupeł – to oksymoron, ale potraktujmy jako związek frazeologiczny. I

jak to im wstyd wyjechać gdzieś zagranicę. Tu też Was rozczaruję – gdziekolwiek byłem, w jakimkolwiek kraju, nikt, absolutnie nikt nie wiedział kto w Polsce rządzi. Mało tego, mało kto wiedział czy Polska jest republiką czy królestwem i gdzie dokładnie leży. A najwięcej wstydu przynoszą sami krajanie, którzy naprawdę potrafią narobić za granicą obciachu.

Miałem pisać o trzeźwieniu, a rozpisałem się o polityce i słowach. Zdradzę Wam pewien sekret, każde napisane słowo, zdanie czy akapit są dla mnie nieodłączną częścią trzeźwienia. Dzięki temu mam swój cotygodniowy rytym, głowę nabitą treścią kolejnych odcinków, a samo pisanie wyzwala we mnie serotoninę i dopaminę, czyli te hormony, których nałogowiec potrzebuje najbardziej. Nie myślę więc o głupotach, tylko o tekście, gdy siadam do pisania świat przestaje istnieć i mimo, że param się tym już ćwierć wieku, to za każdym razem gdy felieton ukazuje się w kiosku czuję tę samą radość co dwadzieścia pięć lat temu.

Przemyślcie to o czym napisałem – o wadze słów, może uda nam się powrócić do ograniczenia przymiotników, a wypowiedziane słowo będzie miało wreszcie odpowiadającą mu wagę, którą każdy słuchacz lub czytelnik zrozumie. Bo niebawem na zakończenie felietonu będę musiał napisać: „Bardzo dziękuję za uważne przeczytanie napisanego przeze mnie tekstu, jestem bardzo mocno, wręcz niewymownie gorąco wdzięczny, że włożyliście strasznie dużo wysiłku w przeczytanie mojego skromnego felietonu”.

Do przeczytania za tydzień.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info